

Trynt, ziemie klanu Sliabh Ard, 25 sierpnia.

Neach-gleidhidh zwykle pachniało świeżą sośniną – z tego właśnie się głównie było zbudowane. W ogóle budowa to był stan nieustający w tym miejscu, które mogłoby chyba otrzymać status najmłodszego miasta Tryntu, spokojnie miało już bowiem 10 tysięcy mieszkańców.

Głównym elementem Neach-gleidhidh był fort, podmurowany, ale większości struktury także drewniany, nazwany, jak i reszta miasta, na cześć roli, którą pełnił – Opiekun. Strażnik nowego handlowego szlaku, który od dwóch lat mozolnie przebijano przez wzgórze Sliabh Ard.

Wielkie przedsięwzięcie było wynikiem wybitnie złej sytuacji, w jakiej Trynt znalazł się po wojnie. Cały system dróg oraz obydwie wielkie rzeki zorientowane były w linii północ-południe, przez dziesięciolecia kraj stał bowiem na handlu z Liryzją, gdzie spławiano wełnę, główny wytwór tryntyjskiej gospodarki. Od kiedy jednak Liryzja stała się częścią Federacji, cła stały się mordercze i konieczne było szukanie innych dróg i innych rynków zbytu.

Jedynym ratunkiem w tej sytuacji byli sojusznicy – jedyna droga handlowa na linii wschód-zachód wiodła od portu w Lionra, przez górskie Bon Carraigh, Askaron, Arden, aż do Przełęcz Teralskich – i do Terali, a w drugim kierunku do Qasyran, które stało się głównym odbiorcą tryntyjskich produktów.

Ale ta droga wiodła na północ Terali, do Lędy.

Stąd powstał pomysł, by przez wzgórze Sliabh Ard przebić szlak na drugą stronę granicy, do samej rzeki Wedry i tam pakować towar na teralskie barki, by dalej w górę rzeki płynął aż do qasyrańskiej Visnohory.

Oczywiście jasnym było, że nie tylko Tryntowi i Terali zależało na tym połączeniu, a qasyrańskie złoto wybitnie przyczyniło się do szybkości powstawania inwestycji. Sam książę Brynjolf bywał zresztą osobiście przy budowie, dlatego, że wiodła przez jego rodowe ziemie, ale także z tego powodu, że Szlak Południowo-Wschodni, jak go nazwano, miał wielkie znaczenie wizerunkowe. Jego teralska małżonka co roku przy wielkim kraterze, który pozostał po zniszczonym bombą mineralową grodzie, urządzała obrzędy i marsz pamięci i pojednania – a że była w połowie Qasyranką, jej gesty były szeroko obserwowane i komentowane.

Hamish czuł się wybitnie osobiście związany z Gleidhidh, jak je w skrócie nazywali. Nie tylko dlatego, że także pochodził z klanu Sliabh Ard. Sam jednak ścinał i nosił wiele z tych sosen, z których pni teraz wznosiła się dumna stanica, woził gruz, który wypełnił wały pod palisadą i kruszył kamienie, które szły na podbudowę coraz dalej już sięgającej drogi.

I nie miało znaczenia, że był oficerem w hirdzie klanu. Wszystkie ręce były potrzebne, a ostatecznie wojna się skończyła, cóż innego miałby robić, patrzeć jak pracują inni?

- Synku, chleba ci naniósłam! I kaboku trochę...

Głos starej Marb wyrwał go z zamyślenia, z żalem oderwał wzrok od wzgórz. Był sierpniowy wieczór, wrzosowiska powoli pokrywały się kolorem, a delikatna nieśmiała mgła oplatała mięciutko ostre zarysy szczytów i dolin.

- Pan wybacz, nie chciała służyć... No już, babciu, dowódca kazał nie przeszkadzać!

Hamish machnął ręką w kierunku Angusa, młody był w gorącej wodzie kąpany i zapalczywy, ale przecież nie ma co narzekać na zaangażowanie swoich ludzi.

- Zostaw, daj no starej Marb co do picia. Wybaczcie babciu – odwrócił się w jej stronę, gestem ogarniając roboczą tunikę i brudne od pyłu drzewnego przedramiona – Jeszcze się obmyć po robocie nie zdążyłem.

Marb nie była jego matką ani babką. Mówiono o niej, że ma lat ponad sto, że pamięta jeszcze Wergundów. Trwała tu, gdy Sliabh Ard spłonęło w błękitnym ogniu, gdy na północ maszerowały armie Szamanki, potem gdy powstańcy kryli się po górach, gdy wergundzkie tymeny szły pod Arden po raz kolejny... zbierała po lasach sieroty, opiekowała się nimi. Do każdego w Gleidhidh mówiła "synku" czy "córciu", choćby i miał lat 40, buławę oficera i doświadczenie w dyplomacji, jak Hamish. Codziennie nosiła na budowę kosz twardego chleba i sera, mieszanego z owsianymi płatkami, zwanego kabokiem.

- Cóż mi pokazujesz, żeś się przy robocie unurał? To i się nie objałeś, chwali ci się – uśmiechnęła się Marb, a siateczka głębokich zmarszczek na jej twarzy zafalowała jak poruszona pajęczyna – A ty też tam nie stój, jak sleagh na weselu, stąd widzę, żeś głodny, Angus! Zara twojej matce powiem, obaczysz!

Angus zachnął się, zde gustowany sugestią, że nie chce jeść i przypadł do kosza, łapiąc gomółkę żółtawego sera, wgryzł się w niego z zaangażowaniem.

- Panie dowódco – rzucił z pełnymi ustami – Zwiad nie wrócił jeszcze, ten trzy dni wstecz wysłany, Gorm kazał przekazać, że czujki wzmacnia. Aha, i przyszedł goniec.

- Co chciał...? – Hamish uśmiechem podziękował staruszce, wyraźnie zachwyconej tym, z jakim apetytem obydwaj zabrali się za jedzenie - Z Arden, masz na myśli?

- M-m – zaprzeczył młody ruchem głowy, po czym przełknął kawał sera i dopiero kontynuował – Z Askaronu. Ważny transport ma iść do trzech dni najdalej, rozkazy są postawić hird w gotowość i eskortować od Arden aż do granicy.

- Psiakrew... Duży..? Od przełęczy Fiadgaich nawierzchnia jeszcze nie gotowa, wozy mogą utknąć... - Hamish podrapał się w ogorzały słońcem kark – Cholera, może pnie położym... .

- Zwiad, mówisz, synku, nie wrócił...? – Marb niespodziewanie uniosła głowę znad koszyka, jej ciemne oczy, lśniące jak węgielki, zdawały się przenikać duszę rozmówcy – A ze stolicy wołają, że idzie transport....

- Ano tak żem powiedział – potwierdził Angus. Hamish zmarszczył brwi.

- Co ci, babuszko, po głowie chodzi? Zwiad często wraca później, niż umówione było, ruda Etyld ich prowadziła, ona się nie gubi. A często jeszcze ze zwierzyną wracają, albo zapadają na obserwację na kilka dni....

Staruszka pokręciła głową.

- Oj Hamish... ty w gotowość stawiasz swoich, ludzi trzeba ostrzec, niech w lasy idą...

- Babciu, co ty...

- Synek, słuchaj, co mówię. Matka moja z Leifem samym we hirdzie służyła, na Wergundów chadzali, dziadek pod pierwszym Adren walczył. Ty mnie nie ucz, jak zwiastuny wojny wyglądają... Ja ci powiadam, hird zbieraj! – Marb podniosła się żwawo, jak na swój wiek, wspierając na kosturze, zarzuciła kosz na ramię – Oj biedna ty ziemo moja... Odpocząć ci od krwi nie dane....

Obydwaj spojrzeli po sobie skonsternowani, spoglądając to na babcię, to na przedpole, na wzgórze ku południu, jakby już mieli tam dostrzec maszerujący tyment.

Ale nie dostrzegli.

Co prawda nie dostrzegli też zwiadowców od rudej Etyld, ale ostatecznie przecie ż często się spóźniali.

Hamish westchnął.

- Babciu Marb, dam znać do zwierzchników, pošlemy więcej zwiadowców – rzucił jeszcze za odchodzącą, która schyliła się, schodząc po nasypie i w garść zebrała trochę ziemi, wypełniającej wał obronny – Wergundia nie naruszy granicy, nie chcą przecie ż nowej wojny. Przecie ż pokój ledwie cztery lata trwa – dodał już bardziej do Angusa, wiedział, że ten po swojej matce, Gairze, odziedziczył wyjątkową elokwencję i ekspresję, zwaną tu i ówdzie plotkarstwem, trochę więc traktował chłopaka jak swoją tubę wobec reszty hirdu. Młody zmrużył oczy, wciąż wpatrując się w różowiejące już odbiciem zachodzącego słońca wzgórze.

- A jak będzie jak za Leifa znów... ? – mruknął niepewnie – Wtedy poszli.

- Poszli. Wtedy mieli Elmeryka. Teraz ich ksią że inny jest, bardziej rozsądny – Hamish próbował brzmieć wiarygodnie, a wszyscy wiedzieli, że poznał kiedyś pod Akwirgranem księcia dar Avarette osobiście, więc musiał przecie ż wiedzieć co mówi – Za wcześnie jeszcze... Z Teralą mamy sojusz, a za nimi z Visnohorą, oni choć Qa, to porządni ludzie i umów dotrzymują.

- Ludzie powtarzają tu i ówdzie, że to hańba się z Qa sprzymierzać ...

- Wiem, co powtarzają – uciął ostrzej dowódca, znał doskonale tak owe pogłoski jak i ich źródło – Hańba to jest kraść i na bezbronnych rękę podnosić. Qa wojnę przegrali, umów dotrzymali, a żyć dalej trzeba. A jak jeszcze usłyszysz takie coś, to mu powiedz, że ten, co rozpusza te hasła, choć sam z tryntyjskiej ziemi, to nie dość, że się Wergundii zaprzedał, to teraz orków dzikich po

lasach prowadzi – Hamish zmarszczył czoło, przypominając sobie wydarzenia sprzed kilku lat, w jego szarych oczach zamigotały na chwilę iskierki pochodni, w uszach rozbrzmiało echo wojennych okrzyków. Tergor dar Toller w poświacie ognia, dzikie pomalowane twarze wojowników... - I wiem, co mówię! – przerwał wspomnienia, wracając do rzeczywistości – A hird na nogi i tak postaw, jak transport mamy chronić jakiś. Leć, niech się ogarną i do wieczora gotowa niech będzie setka chociaż.  
- Lecę!

Babka Marb zaiste mogła mieć i ze sto lat, ale kondycję miała lepszą niż niejeden młodziak. Do chaty swojej dotarła nim jeszcze cienie rozmyły się w szarościach wieczoru, rzuciła niemal w kąt chaty pusty już kosz i stanęła nad stołem.

Wzięła głęboki wdech, jednym zdecydowanym ruchem zgarnęła z niego wszystkie sprzęty i, mamrocząc formuły, okrążyła mebel trzy razy. Miotelką z czarnych piór zmiotła niewidzialne zło, unoszące się nad blatem, po czym wysypała na środek garść wyschniętej ziemi z Neach-gleidhidh. Zaczęła cichutko śpiewać, mrużyć właściwie, rozkładając wokół świece, miskę z wodą, wiecheć zeschniętych ziół. Na środku stołu, w misie kamiennej, rozpałała węgle. Ze skórzanego woreczka wysypała zasuszone białutkie kości.

Marb śpiewała.

Rozpuściła włosy białutkie jak śnieg. I śpiewała.

Do płonących węgli wrzuciła zioła. Nawłóć, piołun, krwawnik, bylica i kilka innych jeszcze, z daleka sprowadzona kora sandałowego drzewa i zasuszone kwiaty paczuli. Po izbie rozszedł się odurzający zapach i dym, otulając miękkim obłokiem przestrzeń.

Czyniąca przymknęła oczy.

Odchyliła głowę i jednym haustem wypija zawartość małej buteleczki, wywaru, o podobnym zresztą składzie ziołowym. Wciągnęła dym nosem i ustami, starając się go chwile dłużej przytrzymać w płucach.

Kontury rozmyły się, świat zakotłosał.

Marb cisnęła w żar garść ziemi i nachyliła lekko, wpatrując w płomienie i szepcząc.

Płomień syknął złowieszczo, rozprysnął się iskrami wokół, zabarwił lekką zielenią.

- Pokazuj... - syknęła – Nakazuję ci, pokazuj!

I ogień pokazał.

Płomienie rozmaszały się, oczy staruszki rozwarły się szeroko, wpatrzone w obraz, a im dłużej patrzyła, tym bardziej twarz jej marszczyła się grymasem przerażenia i rozpacz.

- Przekłęci... - szepnęła cicho – Niech będą przekłęci....

Splunęła w żar, aż zasyczał, ruchem ręki rozgoniła wizję migoczącą w dymie. Pochyliła głowę w podziękowaniu dla mocy, które użyczyły jej swojej wiedzy.

I wybiegła przed chatę, gotowa wezwać natychmiast pachołka, dzieciaczka, który jej pomagał i na znachora uczył.

- Deargh! Wstawaj! – noc spowiła już ciemnością dolinę, rytuał potrwał dłużej niż sądziła – Leć natychmiast do Hamisha Osvirsona na Neach-gleidhidh...

Dziecię, może dziesięcioletni chłopak, trąc jeszcze zaspane oczy, zamruczał i pokiwał głową, odwracając się odruchowo w kierunku ścieżki, wiodącej do nowej fortecy. I znieruchomiał, podobnie jak jego opiekunka.

Nad lasem, nad szczytami jaśniała złoto-fioletowa poświata, wyraźnie podświetlająca nisko kłębiące się na niebie chmury.

A przecież nie miało padać.

Marb przymknęła oczy i pochyliła głowę i trwała tak przez chwilę.

- Za późno ... - szepnęła – Deargh! – położyła ręce na ramionach chłopca – Leć do starego Kirka Toidaroch, w Orvenel, niech wici rozsyła. A Murean powiedz, żeby brała dzieci i w lasy. Natychmiast...

- Babko, ale co się...

- Neach-gleidhidh płonie, synku... Wojna idzie.